ROCZNIKI POLSKIEGO TOWARZYSTWA MATEMATYCZNEGO
Seria II: WIADOMOŚCI MATEMATYCZNE XVII (1973)

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

M. STARK (Warszawa)

Hugo Steinhaus jako nauczyciel w okresie lwowskim

Pragnę podzielić się z Państwem kilku wspomnieniami z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, które by chociaż częściowo odtworzyły postać Hugona Steinhausa, nauczyciela i uczonego, na tle uniwersytetu lwowskiego.

Zetknąłem się z nim po raz pierwszy w 1926 r., jako początkujący student matematyki, słuchając wykładów analizy matematycznej dla pierwszego roku matematyki i fizyki.

Na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie były wówczas cztery katedry matematyki: E. Żylińskiego, H. Steinhausa, S. Ruziewicza i S. Banacha (podana tu kolejność odpowiada kolejności obsadzania katedr). Zwyczajem było, że co roku inny z profesorów prowadził wykład analizy dla pierwszego roku. Ten sam profesor w następnych latach kontynuował wykład analizy, prowadził seminaria i opiekował się danym rokiem do końca trzeciego roku akademickiego, po czym studenci powinni byli uczęszczać już tylko na wykłady monograficzne i seminaria. Cykl był więc czteroletni.

Mój rocznik był kierowany właśnie przez profesora Steinhausa. Był to rocznik bardzo liczny, na wykład uczęszczało ponad 220 studentów stłoczonych w niedużej, dusznej sali, stojących w przejściach i siedzących na oknach. Cały zakład matematyki miał tylko czterech asystentów (jednego starszego, jednego młodszego i dwóch tzw. pomocniczych), wobec czego nie było podziału na grupy; ćwiczenia dla całego rocznika prowadził prof. Steinhaus osobiście, bez pomocy asystentów.

Wykład prof. Steinhausa mógł być zaliczony w latach dwudziestych do najnowocześniejszych w skali międzynarodowej. Oparty był na wcześnie wprowadzonych podstawowych pojęciach topologii prostej i płaszczyzny, co było wówczas nowością. Wadą wykładu była rozbudowana dedekindowska teoria liczb niewymiernych, stanowiąca wstęp do analizy. Każda epoka ma swe mody; taką była moda ówczesna w dobrych środowiskach matematycznych. Pod względem ścisłości — przy uwzględnieniu ówczesnego stanu podstaw matematyki — wykład nie ustępował wymaganiom dzisiejszym. Rok akademicki dzielił się na trzy trymestry. Wykład pierwszego trymestru został wydany w formie skryptu. Szkoda, że skryptu tego nie przeredagowano i nie kontynuowano, wydając w formie podręcznika. Byłby to — sądząc po treści i metodzie

wykładu — doskonały podręcznik, a każdy dobry podręcznik z reguły kształci co najmniej dwa pokolenia matematyków. Nie było wówczas jeszcze prywatnych wydawców literatury naukowej ścisłej, a początki mecenatu państwowego w tym zakresie można było zauważyć dopiero tuż przed rokiem 1939. Uczyliśmy się w zasadzie z książek niemieckich i francuskich, język angielski był prawie nie znany, rosyjskie książki nie docierały do nas w ogóle. Kilka przekładów (Kowalewski, Goursat, później Hardy), żadnej oryginalnej książki polskiej odpowiadającej stanowi naszych ówczesnych, świetnych wykładów uniwersyteckich. Słabe były jeszcze formy organizacyjne nauki polskiej, szukającej właściwie własnej, zunifikowanej postaci po połączeniu trzech zaborów o trzech różnych tradycjach.

Wróćmy do wykładu profesora Steinhausa. Nad zatłoczoną salą dominowała wysoko na katedrze jego postać przy małej (około $1{,}5 \times 1{,}5$ m) tablicy. Wykład był zawsze drobiazgowo przygotowany, napisany, w ręku trzymał zeszyt z notatkami. Wymiary tablicy zmuszały go do ciągłego ścierania i to prawdopodobnie wytworzyło późniejszą manierę chaotycznego zapisywania tablicy. Wykładał bardzo żywo, z dużą swadą, z pewną pozą. Mimo starannego przygotowania wykład był za trudny dla przeciętnego studenta. Pod tym względem był przeciwieństwem Banacha, który wykłady miał starannie przygotowane i wygłaszał je w taki sposób, że chyba nie było nikogo na sali, który by ich nie rozumiał. Dość często w trakcie wykładu prof. Steinhaus zapominał założenia, lub gubił się, gdy był zmuszony do wykorzystywania startych już wzorów. Główną trudność jednak stanowiła dla studentów swoista obrazowość wykładów, używanie porównań zamiast właściwych sformułowań, przypadków szczegółowych zamiast ogólnych (np. „17 liczb" miało oznaczać „n liczb") Dla zdolniejszych studentów obrazowość ta była interesująca, zwłaszcza zastępowanie sformułowań analitycznych obrazem geometrycznym, fizycznym lub nawet z życia codziennego. Obrazy te ukazywały w pewnym stopniu mechanizm myślenia i tworzenia Profesora, jego poglądowe spojrzenie na matematykę, prowadzące do nowych rezultatów; szczególnie korzystne było to w późniejszych latach na seminariach.

Najważniejsze jednak były momenty, gdy Profesor pomylił się lub zgubił. Wtedy uczyliśmy się, jak się robi matematykę. Zmieniała się wówczas też postać Profesora.

Jako początkujący student widywałem go głównie na wykładach, w gabinecie lub na korytarzu. Zazwyczaj kroczył wyniośle, zamyślony, bardzo wytworny, wydając się postacią daleką i niedostępną. Z chwilą jednak, gdy na wykładzie zagubił się, cała ta poza pryskała, stał przed nami na katedrze żywo dyskutujący z nami starszy kolega, zadowolony gdy poddawaliśmy dobry pomysł. Nie było w tym momencie między nami dystansu, ukazywał się takim, jakim był naprawdę, jakim poznałem go wkrótce. Były to najciekawsze chwile wykładu.

Szczególnie pasjonujące były ćwiczenia. Tylko trochę było w nich analizy matematycznej. Tematyka była najróżnorodniejsza, powiązana z jego własnymi, nurtującymi go ideami, którym po latach poświęcił się całkowicie. Dziś zaliczamy znaczną część tych problemów do teorii gier, działu matematyki, którego zaczątków

nie było wtedy jeszcze. On tworzył wówczas zasadnicze definicje z teorii gier (np. gier zamkniętych i otwartych), teorii pościgu, stawiał problemy związane z topologicznymi własnościami wieloboków, z pokryć płaszczyzny i przestrzeni wielobokami i wielościanami foremnymi itp. Na pierwszym roku ogłosił na ćwiczeniach konkurs na wyznaczenie wszystkich (odpowiednio zdefiniowanych) pokryć regularnych płaszczyzny wielobokami foremnymi, nagradzając najlepsze prace egzemplarzami swego skryptu. Ćwiczenia te, przerzucając nas do coraz to innych działów matematyki i wiążąc je, rozszerzały nasze horyzonty matematyczne, a co najważniejsze, ukazywały nowe działy, będące wówczas zaledwie w zalążku, z czego nie zdawaliśmy sobie sprawy (a wątpię czy i On to wiedział). Wykłady kursowe prowadził prof. Steinhaus poprawnie, chociaż bez szczególnego entuzjazmu. Sytuacja zupełnie zmieniła się, gdy przeszedł do przedmiotu ścisłej swej specjalności — do monograficznego wykładu szeregów trygonometrycznych w roku akad. 1928/29. Zajmował się nimi od blisko dwudziestu lat i były główną domeną jego badań, uzyskał w nich szereg podstawowych rezultatów. Szeregi trygonometryczne w pierwszej dekadzie XX w. doznały gwałtownego impulsu dzięki powstaniu całki Lebesgue'a, która dopiero okazała się właściwym dla nich narzędziem. W 1906 r. ukazała się fundamentalna monografia Lebesgue'a o tych szeregach i wielu spośród wybitnych matematyków przerzuciło się na tę obiecującą, a słabo zbadaną teorię. Do nich należał też profesor Steinhaus po swym doktoracie u Hilberta z problemu Dirichleta w 1911 r. Często podawał wyniki nowe, uzyskiwane w czasie przygotowywania wykładu, a ogłaszane później. Entuzjazm jego nam się udzielał. Dzięki sugestywnemu wykładowi prof. Steinhausa zrozumiałem od razu, na wykładzie, paradoksalną i niełatwą metodę Riemanna związaną z twierdzeniem o lokalizacji. Umiał mistrzowsko ukazać głębię i piękno teorii. W dniach, w których przedstawiał swe nowe wyniki, bez względu na ich wagę, prof. Steinhaus bywał podniecony. Przypominam sobie dzień, w którym podał nam bardzo prosty przykład szeregu trygonometrycznego rozbieżnego wszędzie. Do tego czasu znane przykłady były bardzo skomplikowane. Zakończył „Państwo są pierwszymi, którzy poznali ten przykład. Znalazłem go tej nocy". Robiło to na nas wrażenie, że jesteśmy świadkami ważnego wydarzenia. Skrypt z tego ładnego wykładu wydało Kółko Matematyczno-Fizyczne Studentów U.J.K., w opracowaniu Józefa Schreiera i moim.

Jednym z wykładów prof. Steinhausa były *Klasyczne zagadnienia matematyki.* Wszedł tam na teren sobie obcy, prowadząc dowody niemożliwości kwadratury koła, trójsekcji kąta, podając konstrukcję Gaussa wieloboków foremnych i to wszystko bez teorii Galois (która jeszcze nie była spopularyzowana i daleka od dzisiejszej postaci, którą uzyskała w latach trzydziestych, dzięki szkole Artina). Jest to przykład, jak rozszerzał perspektywy naukowe studentów. Należy też zauważyć, że wykłady jego obfitowały w wiele kształcących uwag z historii matematyki. Właściwie, wszystkie jego wykłady uczyły nas myśleć o matematyce w jej historycznym i genetycznym rozwoju. Dzięki swym zainteresowaniom fizycznym, podawał historyczną genezę fizyczną wielu problemów analizy, dzięki czemu zdawaliśmy sobie jasno sprawę z fundamentalnej roli fizyki (i fizyków) w powstawaniu analizy matematycznej.

Seminaria prof. Steinhausa nie miały tematycznie jednolitego charakteru. Zahaczały o wiele dziedzin, głównie jednak o analizę. Znajdowały na nich swe odbicie zagadnienia aktualnie nurtujące prof. Steinhausa. Dzięki temu uwidoczniało się szybkie przesuwanie się jego zainteresowań w kierunku teorii prawdopodobieństwa. Oczywiście brał żywy udział w problematyce wówczas dyskutowanej w ośrodku lwowskim, stawiając często na seminariach nierozwiązane problemy z teorii funkcji rzeczywistych lub analizy funkcjonalnej. Jedno takie pytanie postawione wówczas przez Banacha i Saksa zostało nam podane przez prof. Steinhausa, przy czym nie powiedział nam, że nie znana jest dotychczas odpowiedź. Rozwiązał je Schreier (Studia Math. t. II), student drugiego roku. Tak powstało wiele prac, w wielu z nich jego udział był głęboki. Nigdy nie zdarzało się — choć to tak częste w świecie naukowym — by jego nazwisko wystąpiło jako współautora, jeśli wkład jego nie był bardzo istotny. Należy tu podkreślić, że jednym z sympatycznych rysów ośrodka lwowskiego było wzajemne komunikowanie sobie tematyki aktualnych badań, daleko posunięta kolektywność współpracy, ujawnianie niepełnych rezultatów. W innej atmosferze nie mogłoby powstać tak oryginalne zjawisko, jakim był stolik matematyczny w Kawiarni Szkockiej.

Wróćmy do wykładów prof. Steinhausa. Chciałbym tu zwrócić uwagę na jedną jego cechę, która później pogłębiła się, zwłaszcza po wojnie. Starał się nawet zaawansowane twierdzenia i teorie przedstawić w sposób poglądowy, geometryczny, fizyczny. Znalazło to wkrótce swój wyraz w zelementaryzowanej formie w *Kalejdoskopie Matematycznym*. Niektórzy sądzą, że jest to łatwa książka popularna. Tak nie jest, gdyż wymaga ona pewnego wyrobienia intelektualnego, uczy chwytać matematykę na gorąco, w otaczającym nas świecie realnym (1). Nie każdy matematyk potrafi docenić tę piękną książkę. Zastanawiałem się kiedyś w latach trzydziestych, po wyjściu *Geometrii poglądowej* Hilberta i Cohn-Vossena, czy ta poglądowość *Kalejdoskopu* nie jest wpływem nauczyciela Steinhausa, Hilberta. Sądząc jednak z monografii C. Reid o Hilbercie, która ukazała się w 1970 r., tak nie jest. Poglądowość patrzenia się, chwytania matematyki na żywo wszędzie, gdzie spoglądał i umiejętność natychmiastowego matematycznego analizowania obserwowanych zjawisk była wrodzoną cechą prof. Steinhausa, samodzielną i rozwijającą się z latami.

Przypominam sobie, jak pewnego razu siedziałem przed wojną z prof. Steinhausem w Parku Kilińskiego we Lwowie. Unosił się nad nami rój muszek. Co pewien czas można było zauważyć nagły błysk tego roju, a działo się to przed zachodem słońca. W pewnym momencie zwraca się do mnie prof. Steinhaus: „One uderzają skrzydłami 200 razy na sekundę". Byłem zdumiony, po pierwsze, że zauważywszy ten odblask natychmiast zdołał go wyjaśnić, po wtóre, przekonywającym wyjaśnieniem. Mimo wszystko, częstość uderzeń wydała mi się nieprawdopodobna.

(1) Jest oburzające, że po wyczerpaniu wydania sprzed lat dwudziestu, książka nie została wznowiona u nas i jest niedostępna dla młodego czytelnika polskiego. Znam wypadki, gdy dla jej osiągnięcia sprowadzano ją w przekładzie angielskim ze Stanów Zjednoczonych, gdzie zalicza się do jednej z najpopularniejszych, będących stale na rynku książek. W Związku Radzieckim rozeszła się w masowym nakładzie, a przetłumaczona została na wiele języków.

Dopiero po wielu latach uwierzyłem, gdy bawiąc się fotografią, przekonałem się na podstawie specjalnie robionych prób, że taki rząd wielkości jest możliwy.

Rzadko spotyka się kogoś, kto umiałby, tak jak prof. Steinhaus, na każdym kroku widzieć matematykę. Z osób przeze mnie napotykanych najbliższym mu pod tym względem wydał mi się Stanisław Ulam. Spędziłem kiedyś miesiąc wakacji mieszkając z prof. Steinhausem pod jednym dachem i często z nim spacerując. Był to miesiąc bezustannej przygody matematycznej przy obserwacji gór, drzew czy też mrówek.

Matematyka docierała do prof. Steinhausa ze wszystkiego, co widział, i to matematyka zarówno elementarna, jak i abstrakcyjna. Dla niego tkwiła ona po prostu wszędzie. Dlatego ostro reprezentował do końca życia pogląd, że matematyka nie jest swobodnym tworem umysłu, uważając, że zarówno istota pojęć jak i metod matematycznych została nam niejako narzucona przez otaczającą rzeczywistość. Nie tu zresztą miejsce na dyskusję na ten temat. Różnica poglądów istniała już w starożytności i dyskusja będzie zawsze powracać, mimo pozorów ustalenia się poglądów w tej sprawie.

Wspomniawszy *Kalejdoskop* chciałbym parę słów powiedzieć o metodzie pracy prof. Steinhausa. Osobom nie znającym go bliżej mogło się wydawać, że stale bawi się matematyką, traktując ją lekko, nie będąc ani wytrwałym, ani nie wkładając w to wysiłku. Trzeba go było obserwować przez kilka dziesięcioleci, by widzieć, jak uporczywie pracuje nad pewnymi kręgami zagadnień, jak szuka drogi i jak ją sobie toruje. W ten sposób przesuwał się ku teorii prawdopodobieństwa, której był prekursorem i propagatorem w Polsce lat trzydziestych, nie mówiąc o jego wcześniejszej pracy z lat dwudziestych w Fundamentach.

Ale uporczywość jego ujawniała się nie tylko przy zajmowaniu się teoriami matematycznymi. Opowiadał mi krótko przed wojną, że pracując nad *Kalejdoskopem* chciał zamieścić zdjęcie baniek mydlanych. Musiał znaleźć formułę roztworu mydła tak, by bańki były dostatecznie trwałe do umieszczenia ich we właściwym miejscu i świetle dla sfotografowania. Siedział przez cztery dni na podłodze, puszczając od rana do wieczora bańki, zanim znalazł odpowiedź. Dziś można to załatwić maszynką do robienia baniek i przemysłowo sfabrykowanym dla niej roztworem (gubiąc całą przyjemność puszczania baniek). Czytelnik *Kalejdoskopu* nie zdaje sobie sprawy, ile tkwi w nim wysiłku fizycznego.

Jego stosunek do studentów, bardzo różnił się pod tym względem od pozostałych profesorów. We Lwowie dystans nie był tak wielki, jak np. we Francji, ale był znaczny. Jak wspomniałem już z początku, były cztery katedry matematyki, w roku 1930 doszła Katedra Logiki L. Chwistka. Wszyscy profesorowie matematycy oprócz Steinhausa byli prawie niedostępni dla studenta. Najciekawszy dla dzisiejszego czytelnika wyda się pod tym względem Banach. Niedostępność nie wynikała u niego ze sposobu bycia, ani z głębszych przyczyn, po prostu matematyk interesował go tylko jako ewentualny partner, wymagania miał oczywiście wysokie, wobec czego nie widywało się w jego otoczeniu studentów. Jako nauczyciel studentami nie interesował się.

Przeciwieństwem był Steinhaus. Nie mówiąc o dyskusjach na seminariach, czy w gabinecie, łatwy był z nim kontakt pozauniwersytecki. Pewnego razu, gdy byłem na pierwszym czy drugim roku, w jednym z lwowskich parków czytałem książkę z dziedziny funkcji analitycznych. Nagle ktoś mnie zaczepił od tyłu. To był prof. Steinhaus, który spacerował z córeczką. Byłem zaskoczony i onieśmielony. Rozmowa trwała ponad dwie godziny, a zaczęła się od mej lektury.

W parę lat później, już jako asystent, wykorzystałem tę łatwość kontaktu prof. Steinhausa ze studentami. W 1931 r. lub 1932 — nie przypominam sobie dokładnie — był na ćwiczeniach student, który od razu się wyróżnił. Zainteresowałem się nim i przekonawszy się w osobistej rozmowie, że jest to duży talent, chciałem zapewnić mu specjalną opiekę któregoś z najwybitniejszych lwowskich matematyków. Trudno było myśleć o docentach, było ich niewielu, a utrzymywali się na ogół z nauczania w szkołach (docenci nie byli płatni za działalność uniwersytecką i byli zapracowani, raz na kilka lat docent mógł dostać niewielki wykład zlecony). Docentami, o ile sobie dobrze przypominam, byli wówczas Schauder, Nikliborc, i możliwe, że również Orlicz. Analizując sytuację doszedłem do wniosku, że tylko prof. Steinhaus może chcieć się nim zająć. Zwróciłem się w tej sprawie do niego. Uznał to za rzecz oczywistą i polecił mi go przyprowadzić. Studentem tym był Mark Kac. Tak zaczęła się ich współpraca, a później daleko idąca przyjaźń, dzięki temu Mark Kac wszedł na tory probabilistyczne i fizyczne, na których dziś zajmuje jedno z czołowych miejsc światowych.

Chciałbym parę słów powiedzieć o stosunku prof. Steinhausa do pozostałych matematyków lwowskiej szkoły matematycznej. Są tu pewne nieporozumienia, zwłaszcza jeśli idzie o ocenę wzajemnego stosunku Banacha i Steinhausa. W jednym z dzisiejszych odczytów było wypowiedziane zdanie, że Banach zajął się analizą funkcjonalną pod wpływem prof. Steinhausa. Interesowałem się tym już dawno i krótko po wojnie zadałem prof. Steinhausowi pytanie, czy miało to miejsce. Prof. Steinhaus zastanawiał się milcząc kilka minut, a potem powiedział krótko „Nie!". Banach poszedł w tym kierunku samodzielnie, tak jak samodzielnie zajął się teorią mnogości i bardzo wcześnie całką Lebesgue'a (był wtedy jeszcze studentem, a całka Lebesgue'a nie figurowała jeszcze w podręcznikach). Steinhaus niewątpliwie wywarł duży wpływ na Banacha. Wynikiem, postawionego przez Steinhausa Banachowi problemu była pierwsza praca tegoż z szeregów trygonometrycznych. Pod wpływem Steinhausa Banach zajął się też szeregami ortogonalnymi. Z początkiem lat dwudziestych, współpracowali ze sobą ściślej. Z czasem jednak, w miarę rozbudowy gmachu analizy funkcjonalnej, drogi ich zaczęły się rozchodzić. Banach stworzył grono własnych uczniów zajmujących się analizą funkcjonalną i jej zastosowaniami, jak Schauder, Mazur, Orlicz (ostatni był również uczniem Steinhausa), Ulam (który zaczął pracę naukową pod kierunkiem prof. Kuratowskiego). Steinhaus natomiast coraz mocniej interesował się rachunkiem prawdopodobieństwa, który w tym czasie uzyskał dzięki Kołmogorowowi fundamenty oparte na teorii miary. Steinhaus był chyba pierwszym w Polsce, który systematycznie prowadził wykłady uniwersyteckie z teorii prawdopodobieństwa. Za moich studenckich czasów wykładów

takich jeszcze nie było. Wspomnieć tu należy A. Łomnickiego, który również miał w tym czasie poważny wykład z teorii prawdopodobieństwa na Politechnice Lwowskiej. Ponadto Steinhaus interesował się niektórymi zastosowaniami, z reguły używając elementarnego aparatu matematycznego. Współpracował z pediatrą profesorem F. Groerem, z hematologiem doktorem Fleckiem oraz rozwijał wiele własnych pomysłów, jak np. longimetr do mierzenia długości krzywych i wiele innych. Jego referaty z tego zakresu były przyjmowane na posiedzeniach Polskiego Towarzystwa Matematycznego z uśmieszkiem, nawet ironicznie. Był niezrozumiany przez środowisko, które widziało tylko elementarność użytego aparatu matematycznego, a będąc wyczulone na jakość i głębokość stosowanych metod matematycznych, nie widziało istoty rzeczy tkwiącej nie w jakości aparatu, a w umiejętności tworzenia modelu matematycznego zjawisk przyrodniczych, zmieniania go, traktowania w sposób elastyczny, eksperymentalny.

Ten kierunek, który po wojnie zrealizował we Wrocławiu, tworząc drugą z kolei w swym życiu szkołę, kiełkował w jego działalności już z końcem lat dwudziestych. W latach trzydziestych, we współpracy z Kacem całkowicie poświęcił się kierunkowi probabilistycznemu (funkcje niezależne) i temu co go zawsze pasjonowało: wydobywaniu głębokiej matematyki z otaczających prostych zjawisk. Gdy niedawno czytałem wspaniały odczyt Kaca „*Jak usłyszeć kształt bębna*", w którym tak przekonywająco, w sposób zrozumiały dla człowieka z podstawowym wykształceniem matematycznym, bezpośrednio intuicyjnie wydobywa niezmiernie głębokie i zaliczające się do wybitnie trudnych zagadnienia współczesnej matematyki, wydało mi się, że to daleki wpływ prof. Steinhausa i impulsu nadanego młodemu człowiekowi, o dużej — jak się okazało — przyszłości.

Chciałbym wspomnieć jeszcze kilka faktów. Kiedyś, jeszcze za mych studenckich czasów, zwrócił się do mnie prof. Steinhaus z prośbą, bym uporządkował mu korespondencję. Siedziałem przez wiele dni w jego gabinecie, w domu przy ul. Kadeckiej 14 i wertowałem te listy. Żal mi obecnie, że nie pamiętam korespondentów. Spośród kilkudziesięciu nazwisk znanych matematyków zostały mi w pamięci nazwiska Hilberta, Lebesgue'a, Hardy'ego, Landaua, Tonelliego, Toeplitza i bogata, dowcipna korespondencja Knastera (byłem upoważniony do czytania wszystkiego). Zostawiłem je uporządkowane na specjalnej półce, by zastać je po kilku latach znowu w chaosie.

Prof. Steinhaus znany był — co było zresztą jego cechą przez całe życie — z odwagi cywilnej. Między innymi w 1930 r., gdy rząd osadził w twierdzy w Brześciu nad Bugiem przywódców opozycji Witosa, Kiernika, Liebermanna i innych, prof. Steinhaus należał do grupy odważnych, którzy podpisali słynny protest. A nie było ich zbyt wielu i był jedynym z lwowskich matematyków, którzy to uczynili.

Nie cierpiał nietolerancji. Stosunki jego z kolegami, ze studentami, z całym otoczeniem były absolutnie niezależne od poglądów politycznych, religii, pochodzenia. Odcinał się politycznie od lewicy i od prawicy, ale nigdy nie można było tego zauważyć w formach jego współżycia towarzyskiego lub ustosunkowaniu się do studentów jako profesora czy egzaminatora. Był jednym z bardzo nielicznych w tym okre-

sie, którzy nie unikali kontaktów i nie zmieniali sposobu zachowania się w stosunku do zwolnionych więźniów politycznych (z reguły komunistów).

Niezłomna, patriotyczna postawa prof. Steinhausa budziły ogólny szacunek w czasie wojny. W 1945 r., po powrocie z obozów hitlerowskich dowiedziałem się, że prof. Steinhaus żyje i udało mi się skontaktować z jego córką i zdobyć adres. Będąc wówczas bezdomnym i włócząc się po kraju postanowiłem go odwiedzić, zobaczyć swego dawnego nauczyciela. Po wielu tarapatach dostałem się na zapadłą wieś pod Tarnowem, gdzie zastałem go jako Grzegorza Krochmalnego, nauczyciela wiejskiego, który spędził wojnę tajnie nauczając.

Ale to są już czasy, które nie należą do tematu mego wykładu.